

# Błędne argumenty przeciw wspólnej liście

13.05.2022 r.

**Marcin Świącicki**

W interesującej analizie „Która strategia pozwoli nam wygrać demokrację?” Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz i Jan Szyszko podają argumenty przeciw wspólnej liście wyborczej opozycji, ale oparte na niepełnych danych. Czego nie uwzględnili i dlaczego ich wnioski tracą podstawy, z których zostały wyprowadzone? Poniżej pełne liczby i dodatkowe argumenty, które prowadzą do odmiennych konkluzji.

## **Wyborcy KO, SLD i PSL nigdzie nie uciekli a zagłosowali na swoich w wyborach do Senatu**

W 2019 roku “KO, SLD i PSL otrzymały niemal 9 mln głosów startując osobno w głosowaniu do Sejmu, w wyborach senackich wspólnie otrzymały już tylko 8,1 mln głosów. 900 tys. osób, a więc aż 10% wyborców partii liberalnych i lewicowych, wobec konieczności głosowania na jedną listę, zrezygnowało z udziału w wyborach do Senatu lub oddało głos na kandydatów spoza tej listy” – tym argumentem Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz i Jan Szyszko usiłują przekonać, że wspólna lista opozycji, ze względu na duże zróżnicowania ideologiczne, odstraszy znaczną część wyborców. Gdzie tkwi błąd autorów?

Zacznijmy od tego, że frekwencja w wyborach do sejmu i senatu, była jednakowa – po ok. 18,7 mln (do sejmu głosowało o 527 czyli o 0,03 promilla osób więcej niż do senatu). Głosów nieważnych do senatu było o 268 tys więcej niż do sejmu, tj. o 1,4% ogółu głosujących, czyli podobnie jak w 2015 roku, kiedy ten wskaźnik wyniósł 1,3%, kiedy nie było uzgodnionej listy. Wyborcy, którzy głosowali do sejmu nie zrezygnowali więc z wyborów do senatu; do sejmu i senatu oddano niemal jednakowe liczby głosów.

Po drugie, autorzy nie policzyli wszystkich okręgów. KO, SLD i PSL wystawiło do senatu kandydatów tylko w 94 okręgach. Otrzymali oni prawie 8 mln głosów. W pozostałych sześciu okręgach KO, SLD i PSL bądź poparło kandydatów

startujących z własnych komitetów – dostali 336 tys głosów (Wadim Tyszkiewicz – 64 tys, Stanisław Gawłowski – 45 tys, Jan Bagiński – 77 tys. Maciej Masłowski – 94 tys., Marzena Dębniak – 56 tys) – bądź, w jednym okręgu, nie poparło oficjalnie nikogo. W tym ostatnim okręgu było dwóch kandydatów, pisowski i formalnie niepisowski, Stanisław Kogut, który dostał 76 tys głosów. Wyborcy KO, PSL i SLD zapewne głosowali na niego, bo na pewno jakiś głos oddali.

Ale to nie koniec zastrzeżeń. W kilku okręgach nie udało się doprowadzić do uzgodnienia jednego kandydata i wyborca KO, SLD i PSL mógł zagłosować do senatu na swojego kandydata, ale nie wystawionego ze wspomnianego trójkonsorcjum. Na przykład, w Warszawie, w jednym z okręgów obok Barbary Borys-Damieckiej (KO) kandydowała przeciw PISowi Monika Jaruzelska z własnego komitetu „Lewica” i zebrała 58 tys głosów. W innym okręgu warszawskim obok wspólnego kandydata Kazimierza Ujazdowskiego wystartował znany bojownik antypisowski Paweł Kasprzak i zebrał aż 86 tys głosów. We wschodnio-łódzkim okręgu obok Niewiadomskiej (SLD) wystartował z własnego komitetu Krzysztof Kwiatkowski, i otrzymał 79 tys głosów. Podobnie było w okręgach 13, w którym byli dodatkowi kandydaci ewidentnie antypisowscy (21,5 tys głosów) i okręgu 88, w którym kandydat mając takie same nazwisko podszywał się pod wieloletniego senatora PO, który już nie startował. Przegrał z kandydatem KO, ale oszust zebrał 31 tys głosów opozycji antypisowskiej. Jeśli głosy na nich oddane doliczyć, to w sumie mamy kolejne 275 tys głosów. Razem wspomniani kandydaci spoza list KO-SLD-PSL otrzymali 687 tys głosów (336+76+275).

Wreszcie trzeba spojrzeć na 14 okręgów, w których wystartowali kandydaci z Komitetu Bezpartyjni i Samorządowcy. Do sejmu Komitet BiS dostał tylko 145 tys głosów, ale do senatu już 331 tys głosów. Razem byłoby już te same 9,1 milionów wyborców KO, SLD i PSL, wraz z przyległościami, i do sejmu i do senatu. Jednakże można uznać, że różnica, czyli 186 tys wyborców, którzy w wyborach do sejmu głosowali na listę KO lub SLD lub PSL, a w wyborach senackich przerzuciło swe głosy na kandydatów BiS, było rozczarowanych uzgodnionym kandydatem Trójkoalicji. Czyli nie 900 tys stanowiące 10 proc wyborców głosujących do sejmu na listy KO, lub SLD lub PSL, ale maksimum 186 tys stanowiące 2 procent wyborców KO-SLD-PSL stracono w wyniku uwspólnotowionej listy. Jest to margines, tym pewniej można to twierdzić, iż nie zbadaliśmy orientacji około 50 innych kandydatów z list indywidualnych, wśród których mogli być ewidentni przeciwnicy PIS, którzy nie opanowali swych ambicji i równolegle wystartowali przeciw uzgodnionym kandydatom. Na szczęście do sejmu jest znacznie trudniej wystawić dodatkową

listę i takich harców we własnym obozie raczej nie będzie. W sumie trudno uznać, jak robią to szanowni autorzy, że wyborcy głosujący do sejmu na kandydatów KO, PSL i SLD przestraszyli się wspólnej listy senackiej.

### **Do sejmu głosujemy na swego, do senatu niekoniecznie**

Dochodzi jeszcze jeden znaczący argument. Głosując na wspólną listę do sejmu w przyszłych wyborach wyborca będzie miał większy komfort niż głosując na jednego uzgodnionego kandydata do senatu. W wyborach do sejmu jest możliwe, aby w każdym okręgu na wspólnej liście umieścić przynajmniej po jednym kandydacie z każdego ugrupowania wchodzącego do opozycyjnego bloku. Najmniejsze okręgi do sejmu liczą bowiem po 7 mandatów, o które może się ubiegać na wspólnej liście nawet 14 kandydatów. Wyborca wie oczywiście, że jego kandydat może się nie przebić i oddany głos na swojego kandydata ostatecznie zapracuje na mandat innego kandydata ze wspólnej listy, ale przynajmniej ma spokojne sumienie, że głosował na swojego. Natomiast w wyborach do senatu 2019 około połowy wyborców nie mogło głosować na swojego, a musiało na uzgodnionego kandydata, czyli z innej formacji wchodzącej do koalicji senackiej. KO wystawiła bowiem kandydatów w 73 okręgach, więc w pozostałych wyborca KO, aby być lojalnym, musiał zagłosować na kandydata z innego ugrupowania. SLD przydzielono w ramach koalicji tylko 7 okręgów senackich a PSL wystawiło kandydatów tylko w 16 okręgach. a więc w ponad 80 okręgach wyborcy PSL i SLD byli zmuszeni głosować na kandydatów KO bądź popieranym niezależnym, ale nie na swoich kandydatów, a mimo tego zagłosowali lojalnie z minimalnymi wyjątkami. Na 9 mln wyborców, którzy do sejmu głosowali na listy swoich komitetów KO, PSL lub SLD aż 4-5 mln z nich przy głosowaniu do senatu musiało się zdecydować na kandydata nie ze swojego ugrupowania. Tymczasem w wyborach do sejmu przy jednej liście opozycyjnej zbudowanej nawet przez pięć ugrupowań wszyscy wyborcy bez wyjątku będą mieli komfort głosowania na swojego kandydata.

### **Wyniki głosowania do senatu 2019 świadczą więc o gotowości opozycyjnego elektoratu do wspólnych list sejmowych i senackiej**

Czas, aby liderzy opozycji, którzy podzielają hasło „patria przed partią”, dostrzegli realnie istniejący wielki potencjał opozycyjnego elektoratu do wspólnego skutecznego działania przeciw PIS.

## Wybory do sejmu 2019 a wspólna lista

KO, SLD i PSL startując z oddzielnych list zebrali w 2019 roku razem blisko 9 mln głosów, o 907 tys więcej niż PIS (8 051 tys), ale z powodu rozbicia na 3 listy uzyskali tylko 213 mandatów, czyli o 22 mniej od PISu (235 mandatów). Aby tak dramatycznie przegrać mając wspólną listę musiałaby ona uzyskać aż o 1,7 mln głosów mniej, czyli nie 9 mln a 7,3 mln. W świetle przedstawionej wyżej analizy wyników do senatu nie wydaje się prawdopodobne, aby wspólna lista, na której ma się swojego kandydata, wystraszyła aż 1,7 mln wyborców KO, PSL i SLD. Jeśli odeszłoby aż 900 tys. wyborców z powodu wspólnej listy, to wynik opozycji byłby taki sam jak PISu, a gdyby z powodu uwspólnotowienia listy zniechęciło się mniej niż 900 tys, co wydaje się najbardziej prawdopodobne, to opozycja wygrałaby z PISem.

## Co jest najważniejsze w przeliczaniu głosów na mandaty sejmowe w obowiązującym w Polsce prawie wyborczym?

Po pierwsze, nie spaść poniżej 5-procentowego progu, na co słusznie zwracają uwagę Pełczyńska-Nałęcz i Szyszko. A więc dla małych ugrupowań koalicja jest konieczna.

Po drugie, komitet, który przekroczy próg, ale o niewiele, np. otrzyma 8-13 proc głosów, może efektywnie nie zdobyć żadnego mandatu w małych 7-12 mandatowych okręgach, a więc głosy w tych okręgach będą zmarnowane. Na przykład w 2019 roku SLD zdobył 12,6% głosów w skali kraju, ale w 6 okręgach na 41 nie zdobył ani jednego mandatu, na PSL oddano 8,6% głosów, ale w 10 okręgach nie uzyskał żadnego mandatu. Co więcej zmarnowane głosy w tych okręgach poprawiały w pierwszej kolejności efektywność przeliczania głosów na mandaty największego elektoratu czyli głosów oddanych na PIS. W rezultacie w skali kraju PIS na jeden mandat potrzebował tylko 34,3 tys głosów, KO- 37,8 tys., SLD- 47,3, PSL- 52,6 a Konfederacja Wolność i Niepodległość- aż 114,3 tys.

Po trzecie, trzeba wziąć pod uwagę, iż w każdym okręgu, i małym i dużym, komitet, który uzyskał największą liczbę głosów (nawet przewagą jednego głosu!) pierwszy bierze kolejny mandat przy przeliczania głosów na mandaty, więc potrzebuje na ogół najmniej głosów na jeden uzyskany mandat. (Pełczyńska-Nałęcz i Szyszko znaleźli w wynikach 2019 roku 4 wyjątki od tej reguły na 41 okręgów, czego nie sposób traktować jako argumentu przeciw wspólnej liście) Z tego właśnie

mechanizmu wynikają istotne korzyści dla dużych komitetów w przeliczaniu głosów na mandaty. W 2019 roku PIS wygrał w 36 okręgach na 41. KO zaledwie w 5-ciu a pozostałe komitety w żadnym. Trzeba odwrócić tę tabelę i przeciwstawić PISowi taką listę opozycyjną, która w maksymalnej liczbie okręgów wygra z listą PISowską. Taką szansę ma jedynie możliwie jak najszersza lista opozycyjna a nie rozbitcie opozycji na kilka bloków. 40 procent głosów w naszym systemie wyborczym do Sejmu daje zawsze więcej mandatów niż 3 listy uzyskujące np: 25, 10 i 5 procent głosów, czy dwie listy po 20 procent. Idąc wspólną listą do wyborów wszystkie partie wchodzące do koalicji mają szansę zdobyć więcej mandatów, niż gdyby szły oddzielnie.

### **Lekcja węgierska**

Toczy się spór, czy wspólna lista opozycji na Węgrzech w marcowych wyborach była przyczyną porażki opozycji, czy odwrotnie bez tej listy opozycja by jeszcze bardziej przegrała. Rozmawiałem w tej sprawie z kilkoma ekspertami węgierskimi. Oto w skrócie ich opinia. Wspólna lista była dobrym pomysłem, ale zawiodło wykonanie: za późno się zdecydowano, wybrany w prawyborach kandydat na premiera robił co mógł, ale nie miał własnego zaplecza w skali kraju a inne ugrupowania słabo go popierały, zbyt wiele czasu, energii i sił zabrało budowanie wspólnej listy krajowej, bo nie było żadnego systemowego rozwiązania a tylko indywidualne przepychanki. Oczywiście na wynik wielki wpływ miał praktyczny monopol Fideszu w mediach, używanie zasobów rządowych w kampanii, wyrzut pieniędzy dla elektoratu bezpośrednio przed wyborami, zręczne rozgrywanie rosyjskiej agresji na Ukrainę przez Orbana („nie jestem za Rosją ani za Ukrainą, jestem za Węgrami”, „opozycja pcha Węgry ku wojnie”). Gdyby nie było wspólnej listy krajowej i wspólnych kandydatów w okręgach jednomandatowych opozycja by przegrała jeszcze bardziej.

## Co robić?

Nie ma potrzeby, aby już dziś przesądzać sprawę list. Nie warto jednak brnąć w samosprawdzającą się negatywną prognozę i sugerować elektoratowi, że nie da się, stracimy na wspólnej liście, są za duże rozbieżności, mamy w ręku analizy i dowody przeciw wspólnym listom, etc. To wywoływanie wilka z lasu. Elektorat tak uprzedzony nie zrozumie konieczności robienia wspólnych list, jeśli przed wyborami okaże się jednak, że to byłoby optymalne. Są analizy i kontranalizy. Elektorat powinien być przygotowany na przyjęcie najlepszego dla opozycji wariantu przed wyborami, jaki by on nie był – jedna lista, dwie listy czy trzy. Proponuję inną narrację: zrobimy analizy przed wyborami i zobaczymy, jesteśmy otwarci na każdy wariant, nie odrzucamy z góry żadnego, decyzje podejmiemy, kiedy będzie na to czas.

Tymczasem warto budować elementy wspólnego programu dla przyszłej koalicji rządowej bez względu na to jak się opozycja zorganizuje do wyborów (a mam nadzieję, że zorganizuje się optymalnie). Chodzi m.in o: naprawę stosunków z UE; naprawę sądownictwa; przywrócenie uprawnień samorządom; równy start do stanowisk publicznych w administracji, spółkach skarbu państwa, instytucjach publicznych przez konkursy, wymogi kwalifikacyjne, otwarte procedury a nie nepotyzm i kumoterstwo; odpartyjnienie mediów publicznych; uporządkowanie finansowania organizacji pozarządowych; wprowadzenie zielonego ładu; naprawę stosunków w wojsku, szkolnictwie; przygotowanie do wprowadzenia euro. Nie będzie w programie spraw dzielących potencjalną koalicję, np: związków partnerskich czy aborcji. Każde ugrupowanie w tych sprawach pozostaje przy swoich postulatach. Nie ma przymusowego znoszenia różnic programowych. W różnych sprawach konserwatywne, lewicowe i liberalne formacje mogą zachować „poczucie własnej podmiotowości”, co podkreślają jako kluczową kwestię Pełczyńska-Nałęcz i Szyszko. Ewentualna wspólna lista i głosowanie na nią nie będzie oznaczało poparcia dla postulatów, które nie są uwzględnione we wspólnym programie a elementów do wspólnego programu jest dość co najmniej na jedną kadencję. Wspólny program to również dobre lekarstwo na chorobę niedojrzałych demokracji, w których najważniejsze jest gromadzenie się wokół tego czy innego wodza a nie zobowiązanie do przeprowadzenia konkretnego programu z pożytkiem dla obywateli, wykonanie kontraktu naprawy państwa zaproponowanego wyborcom.

Najgorsze przy tworzeniu wspólnej listy jest tworzenie wspólnej listy. Nawet jeśli by to miała być wspólna lista tylko dwóch ugrupowań a co dopiero trzech czy

czterech. Oglądałem z bliska kilka takich maratonów i to jest koszmar. Ostatnie wybory na Węgrzech potwierdzają polskie doświadczenia. Dlatego warto przygotować metodologię tworzenia wspólnej listy, aby, na wszelki wypadek, mieć pod ręką procedurę budowy takiej listy. Jedną opcją mogą być prawybory, ale trzeba zastanowić się, jak je przeprowadzi. Adoptowanie do polskich realiów systemu stosowanego w Parlamencie Europejskim do rozdziału stanowisk wewnątrz Parlamentu – to druga dość prosta i efektywna opcja.

**Marcin Święcicki** – absolwent socjologii i ekonomii na Uniwersytecie Warszawskim. W latach 1972–1982 pracował w Komisji Planowania przy Radzie Ministrów. Pełnił funkcję dyrektora ds. studiów i analiz oraz sekretarza generalnego Konsultacyjnej Rady Gospodarczej. Uczestnik obrad okrągłego stołu, w latach 1989–1990 minister współpracy gospodarczej z zagranicą w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. W latach 1994–1999 prezydent Warszawy. Radny m.st. Warszawy (1998–2002) i sejmiku woj. mazowieckiego (2006–2011). W latach 1999–2000 wiceminister gospodarki w rządzie Jerzego Buzka. Pełnił funkcję doradcy prezydenta Litwy ds. reform gospodarczych, był koordynatorem w Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie oraz dyrektorem w UNDP Blue Ribbon Analytical and Advisory Centre w Kijowie. Poseł w latach 1989–1991, 1993–1997 i od 2011 r. (X, II, VII–VIII kadencja), zasiadał w komisjach: przekształceń własnościowych; stosunków gospodarczych z zagranicą i gospodarki morskiej; systemu gospodarczego; przemysłu i budownictwa; integracji europejskiej; samorządu terytorialnego i polityki regionalnej, finansów publicznych, gospodarki oraz nadzwyczajnej do rozpatrzenia niektórych projektów ustaw z zakresu zabezpieczenia społecznego.